Lwów, 3. Stycznia. **№ 1.** Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. — półroczna **3** Złr. — kwartalna **1** Złr. **30** kr. — miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następne po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stęplowego.

Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha* przy placu dykasteryalnym pod l. 41.

Wiersz powitalny w uroczystość przybycia do Lwowa

Jego Cesarzewiczowskiej Mości Najdostojniejszego Arcyksięcia

Karola Ludwika

podany przez gminę miasta Lwowa.

Zagrzmij radością Halicka kraino,
Gwiazda się szczęścia nad tobą rozświeca;
Od jej promieni, chmurne cienia giną,
Kiedy nas Książę Twa bytność zaszczyca!

Ten, co potężne dzierzy władzy berło,
Którego błogie wielbim' panowanie,
Ojcowskie ku nam świadczy zaufanie,
Swojej korony obdarza nas perłą,
Wysokiej łaski dozwala nam plonu,
Gdy Tobie Książę od pobliża tronu,
Od boku swego, u nas dał mieszkanie! —
Że na to wybrał tej ziemi stolicę,
Kochać Cię będzie, strzedz, jak swą źrenicę!

Książę, Twa bytność, naszych serc pociechą,
Cały kraj woła, stokroć wtórzy echo:
„Witaj nam Książę!“ — Wszyscy głosim „Witaj!“
„Życzliwość naszą w sercach naszych czytaj!“

Obyś w niej mając naszej znak poręki:
„Iż wierna miłość do Ciebie nas wiąże“
Chciał wraz u tronu złożyć nasze dzięki!
Że Ci mieszkanie obrał u nas, Książę!
Pamięć tej łaski nie będzie zatarta,
Da ją w potomność dziejów Lwowa karta;
Przez wierne ludu prawnukom podanie,
Na późne czasy pamiętną zostanie! —

DWAJ BLIŹNIĘTA.

I.

Bohatyr powieści przychodzi na świat.

Był to wieczór grudniowy; księżyc świecił jasno, jeżeli nie jaśniej jak w lecie, ale mróz był trzaskący. I cudownie pięknie w oświetleniu księżycowem w śnieżnej szacie wyglądał krajobraz tej okolicy, do której czytelników moich wprowadzam. Jest to jedna z najpiękniejszych okolic kraju naszego: jest to bowiem Podgórze dzielące Prut od Karpatów. Kto pominąwszy Kołomyję, puścił się kiedy drogą wiodącą jak po stole ku Czerniowcom, wzdłuż Prutu, który prześlizguje się jakby potok ogrodowy środkiem ogromnego parku, z kilkunastu wsi i dworów zielonością umajonych stworzonego, przyzna, iż mało ponętniejszych okolic jest zagranicą, któreby mogły walczyć o palmę zwycięstwa z naszem Podgórzem. A ileż piękniejszą, ile wznioślejszą i co chwilę więcej podziwu sprawiającą jest dalsza podróż ku Karpatom, gdy przejechawszy czyste jak łza wody Prutu, z góry w górę, z gaju w gaj pomiędzy urwiska i skały, podróżny pnie się coraz wyżej i co chwila zdybuje najrozmaitsze widoki górzyste. Tu rzut oka w nieskończoności zda się ginący na przebyte doliny, tu widok ponętnej samotni skałami i lasami otoczonej, tam znowu pogląd na coraz bliższe szczyty Karpatów, które zdają się iść ku niemu jak dziwne olbrzymy w fantastycznych, z mgły i chmur uwitych turbanach. I nagle gdy już myślisz że jesteś u podnóża samychże najwyższych gór, wjeżdżasz coraz niżej i niżej w dolinę długą i szeroką. Góry jakby czarem jakim rozstąpiły się na oba boki, i po murawie miększej od najmiększego kobierca, wśród strumieni i gajów ujedziesz kilka mil taką równiną, iż ci mimowolnie przyjdą na myśl owe rozległe płaszczyzny Wołynia i Podola, owe przestrzenie niezmierzone ukraińskich stepów. I znowu bez wszelkiego przygotowania na zakręcie drogi stajesz przed nowym labiryntem pokrzywionym, zagmatwanym skał na pół[illegible]gich, po[illegible]manych i popękanych najdziwaczniej na u[illegible]ska olbrzymie, na przepaście bez dna. Dotychczasową ciszę doliny, którąś przeminął, przerwie ci szum rozmaitych strumieni, kłócących się z skałami co im drogę zastępują, i z nie małem zadziwieniem postrzegasz tu koło młyńskie ledwie dojrzane z po za zielonej drzew rozłożystych zasłony, tam kawał komina z nieodstępnym dymem swoim, tam znowu błyszczący krzyż cerkiewki. To górska wioska rozrzucona pomiędzy skały i urwiska, która nieraz ciągnie się dłużej mili, bo osiadający tam górale musieli zapewne korzystać z każdego kawałka ziemi, który rzadkim przypadkiem jakim przylgnięty do nagiej skały dawał nadzieję osiadającemu, że na nim zdoła nieco drzew i trochę warzywa nasadzić.

Do takiej to wioski, doskonale nazwanej *Kryweńką* zaprowadzę czytelników moich, i pokrótce muszę obznajomić z miejscowością, która będzie nam potrzebna do zrozumienia dalszych scen naszej powieści. Powiedziałem już, że cudowny był to zimowy krajobraz. I w rzeczy samej szaty zimowe zdawały się rozweselać tę posępną i

dziką okolicę, w której leży Kryweńka. Jest to zbiór skał prawie zupełnie nagich, tak bezładnie i bezkształtnie porozrzucanych, że mimowolnie przychodzi na myśl jakaś dawna rewolucya wulkaniczna, która jedna zdołała utworzyć tak dziki chaos. Na samym prawie końcu tych wszystkich różnokształtnych skał stoi najkształtniejsza piramidalna prawie skała, która z żadną inną się nie łączy, i do której na pierwszy rzut oka żadnego niema przystępu. O ileż wzmaga się zadziwienie podróżnego gdy na samym dość obszernym szczycie tej skały spostrzeże kilka zabudowań, a pomiędzy niemi najwyższy budynek z ogromnemi kominami zwiastuje mu, że to dwór pana i dziedzica tej włości. Boki tej skały na której stał dwór, czy przypadkową czy sztuczną oblepione ziemią okryte były drzewami, owocami, i innemi ogrodowemi krzewami. Lecz najdziwniejsze wrażenie sprawiały ogromnie wysokie częstokoły z spiczastemi jakby palisadami, które cztery razy od dołu do góry opasywały skałę. — To też zdaleka ta okolica, i dwór rzucony na wierzch jak orle gniazdo i te częstokoły wyglądały jakby forteca jaka. I nie bez przyczyny, którą poźniej w czas i porę opowiem. Po bokach obu tej piramidalnej skały wznosiły się inne, to mniejsze, to większe skały, góry i pagórki, z jednego olbrzymiego kamienia potworzone, i pomiędzy niemi, tu na samym wierzchu, tam w pół góry, tam na samem dnie głębokiego jaru lub znowu pod urwiskiem skały jakby pod drugim dachem, stały porozrzucane chaty wieśniacze, a każda otoczona wieńcem ogrodowym. Jeszcze dalej na czelnej górze, więcej kształtami swemi zaokrąglonej, zaczynał się ogromny las świerkowy, u którego wnijścia po jednej stronie stała skromna cerkiewka z skromniejszą dzwonnicą i najskromniejszą plebanią, a po drugiej stronie wiejski cmentarzyk, na pół zawieszony nad urwiskiem, bielejący się tu i owdzie kośćiami, które rok rocznie wymulały śnieżne wody. A jeszcze dalej za łańcuchem niedalekich gór trzy najwyższe szczyty w trójkąt ustawione zdawały się naginać i zaglądać ciekawie do środka tej którą opisałem okolicy i wioski. Chciejże teraz czytelniku wyobrazić sobie żywo noc zimową, i popatrz jak daleko ponętniej wyglądają te jary i urwiska zasypane śniegiem, którego jednostajna barwa zda się niejako łączyć te wszystkie chaotyczne gór połamania. I śnieg ten mrozem ścięty, księżycem oświecony, iskrzący milionami brylantów, od których dziwnie ciemno i tajemniczo odbija się posępny bór świerkowy. Iskrzą się gwiazdy na niebie tem cudownie drżącem światłem zimowem, i iskrzą się gwiazdy na ziemi, te w bezładzie porozrzucane światełka po chatach wieśniaczych, a najjaśniej, najczarowniej iskrzy się i błyszczy w ciemne boru ramy ujęty, krzyż cerkiewny, jakby sztucznym jakim oświetlony ogniem. I żadnej chmurki na pogodnem niebie, żadnej czarnej smugi na ziemi, prócz tej smętno i mglisto różowej obwódki co księżyc otacza, zwiastunki silnych burz i mrozów — i tej ciemnej jakby plamy na białej przestrzeni jaką tworzą wysokie dworu zabudowania, i poddane mu chaty. Jeżeli używam tego słowa **poddane**, słowa, które wyszło z prawnego dykcyonarza, to dla tego tylko, że zapomniałem wspomnieć przy wstępie zaraz, iż powieść zaczyna się z początkiem wieku naszego.

A naprzeciwko dworu, na prawo, na przeciwległej stronie urwiska, stała chata najbliżej zda się dworu — jeżeli nie weźmiemy w rachunek, że trzeba było wąską ścieszką zbiedz z dworu i całe długie okrążać urwiska, i piąć się krętą pod górę ścieszką, zanim się stanęło u drzwi tej chaty, która większa, porządniejsza i czystsza od drugich, świadczyła o większych także zasobach jej właściciela, co stwierdzały i mnogie stogi pełne owsa i siana, dość obszerna kosznica z kukurudzą, i większy od innych sadek i ogród. Do tej chaty wejdziemy naprzód. Jej wnętrze nie odznaczało się niczem od innych chat górskich; chyba może czystością większą pochodzącą zapewne od częstszego pobielania, czyli raczej mozajkowania ścian drewnianych, bo to pobielanie nie chciało się trzymać drzewa; ale za to lepiej się udawało z piecem prawdziwie gospodarskim, bo ogromnym, rozłożystym, nie rachując weń przypiecka, który był niejako drugą izdebką w izbie. Na piecu rozłożony ogień nieskąpy, bo pożerający ogromne kłody, dawał zarazem izbie ciepła, i światła, i woń smolną, i tę miłą w wieczornej dobie harmonią syczącej i trzaskającej w ogniu jedliny. Przed ogniskiem stała kobieta jak wszystkie góralki wysokiego wzrostu, z twarzą smaglawą, okiem ciemnem i wyrazistem, chociaż w tej chwili zamglonem nieco, czy smutkiem czy zamyśleniem. Czerwone z ogniska światło padając na jej twarz, dodawało jej jeszcze więcej wyrazu pewnej posępnej żałości. Była to kobieta jeszcze młoda, dosyć przystojna, ale widocznie czy pracą czy chorobą zmęczona, a najprędzej obiema, temi zwykłemi towarzyszami biednego chłopka na wsi, a jeszcze w owym czasie. Na ławce koło pieca siedział sam gospodarz, ogromny i barczysty góral, z pod którego brwi gęstych i nieco obwisłych, żywe i ciemne oczy, strzelały wedle okoliczności i potrzeby na przemian, to wzrokiem głupoty lub sprytu, to uległości lub uporu. Takiż sam wyraz odbijał się koło ust jego, których naturalne ściśnienie świadczyło o silnym wewnętrznym uporze, spowodowanym nieraz u ludzi jego rodzaju wiarą w własną siłę fizyczną. Bo też Ilko Berdesz słynął w całej okolicy za najsilniejszego górala, i cuda rozpowiadano niestworzone o dowodach tejże siły. Siedział on zajęty struganiem rozmaitej wielkości drzewek, z których to górale wyrabiają bardzo zgrabnie te wszystkie drobne naczynia, które rozchodzą się z Kut, Delatynu i Kołomyi w dalekie strony.

W głębi izby, na nie wielkim sienniku leżało dwóch

małych chłopców. Mogli mieć po trzy lata najwięcej. Ładne to były jasnowłose chłopcy, jednego wzrostu i tak podobni do siebie, jak mogą być podobne dwie krople wody, jak bywają podobni czasem do siebie bliźnięta. Jakoż byli to bliźniaki Iwaś i Mykitka, synowie Ilka i Eudochyi, owej przy piecu stojącej kobiety. Chłopaki naprzewracawszy i nabiegawszy się dzień cały, byli śpiący, i w pół snem zmorzeni spoczywali główkami ku sobie zwróconemi na wspólnej poduszce. Poduszką zaś tą był stary wołochaty i bury kundys, wielki malców przyjaciel, który najcierpliwiej spał lekkim dwóch główek obarczony ciężarem, i od czasu do czasu czy przez sen czy powodowany swym stróżliwym obowiązkiem zaszczekał chrapliwie. Te chłopaki nie spali bez przerwy, od czasu bowiem do czasu zabłyszczały ich oczęta zwrócone ku matce, a raczej ku garnkowi przez nią pilnowanemu, który zawierał nadzieję wieczerzy, ulubioną mamałygę, bryndzą omaszczoną.

Na środku izby była jeszcze kołyska drewniana, a w niej spoczywała dziewczynka ledwie dwutygodniowa, tym szczęśliwym snem bez myśli i marzeń, snem który zaczyna i kończy żywot człowieczy. Czy co było na przypiecku, trudno rozpoznać, bo w tym kącie najciemniej, a choć czasem z głębi zapiecka, jakby z pieczary jakiej, zabłyśnie coś nakształt dwojga oczów, mogą być to przecie oczy kocie. — I zupełna panowała w chacie cisza, bo i o czemże mieli rozmawiać ci biedni całodzienną pracą zmęczeni ludzie; chyba o znojach jutrzejszych. Wszakże ich jedyną w tej chwili myślą było zapewne, by jak najprędzej spożyć wieczerzę, i w twardym śnie utopić i przeszłość bez miłych pamiątek, i przyszłość bez dobrych nadziei.

Nagle przerwało ciszę skrzypienie chodu jakiegoś po śniegu zamarzniętym. Kobieta przy ogniu nie zdała się słyszeć nawet tego. Gazda podniósł nieco głowę, i coś nawet zaszeleściało i żywiej załyszczało na przypiecku. I skrzypienie zbliżało się do chaty, i wreszcie otwarły się drzwi, a przez nie wszedł jakiś obcy mężczyzna w stroju góralskim, odznaczającym się od zwykłego wieśniaków ubrania bogatemi wyszywaniami na koszuli i na guni, i większą ilością mosiężnych przystrojeń na pasie. Miał jak drudzy górale toporek w ręku, bogato w mosiądz oprawny, z wielką cyfrą, również w mosiądzu wydrążoną. Snać go wszyscy znali, i wszyscy nie lubili, bo jak nie było gościnnego przywitania, tak też i nie było gościnnego na twarzy wyrazu; przeciwnie i mąż i żona spojrzeli po sobie z rodzajem wyrazu niespokojnego. Już to twarz gościa nie była zdolna do wzbudzenia sympatyi. Była to twarz szeroko rozlana, krostowata, zespecona ospą, i rozpalona trądem, świadczącym o wielkiem jego w wódce zamiłowaniu. Spojrzenie zaś miał ukośne, zyzowate, i pełne złośliwej żółci. Była to nie mała i straszna dosyć figura. Prosty chłop z Kryweńki przepiwszy swoje mienie, przestawszy zatem być gazdą, poszedł na służbę do dworu, i pomału ze stróża wyszedł na nadstawnika, a z nadstawnika na totumfackiego pana ekonoma, który był znowu totumfackim samego dziedzica. Jako taki, czy wypełniał jakie szczególne polecenia dworskie, czy wyganiał na pańszczyznę, czy pilnował w polu lub stodole, czy nareszcie wypełniał dawane rozkazy dworu, mnogie miał s tyczności z mnogiemi dawniejszemi towarzyszami lat pastuszych, pohulanek karczemnych, i innych wiejskich uroczystości. Lecz wszystkie te styczności były na niekorzyść biednych mieszkańców Kryweńki, bo stary Ostap był nie tylko srogim i niemiłosiernym, ale przy wykonywaniu rozkazów dworskich, umiał zawsze wtrącić spory dodatek swojej nieludzkiej złośliwości. Bez litości donosił, obmawiał biednych gospodarzy we dworze, a potem pastwił się nad nimi z szatańską radością. To też był postrachem całej wsi w dzień, a nocną zmorą duszącą śpiących. Dziwna to rzecz ale niestety prawdziwa, że zwykle obcy tak się nie pastwi jak swojak gdy się wydrapie z pomiędzy równych sobie. Zdaje się, że chciałby się zemścić na swoich za to, że z dołu z pomiędzy nich wyszedł, a tym którym służy lub z któremi zbratał się chciałby srogością swoją z pamięci nawet wygluzować, że się do nich wzniósł, chciałby w nich wmówić, że choć pochodzeniem obcy, chęciami, myślami i uczuciami wszystkiemi jest im nie tylko równy, ale nawet lepszy od nich. I jeśli była dawniej między ludem niechęć i nienawiść ku szlachcie, to przypisać można głównie owym pośrednikom między dworem a chatą, podobnym Ostapom, których dawniej w każdej wsi po kilku znalazłeś.

— No Eudochio! machaj żywo do dworu! zakrzyknął stary Ostap głosem prawdziwego nadstawnika, i miła woń wódki wyszła mu z ust tuż za głosem.

— Do dworu? ledwie wymówiła biedna matka osłupiałym patrząc na Ostapa wzrokiem, i zaczęła drżeć cała jak liść osikowy.

— Do dworu! a żywiej! przekrzywił się jej Ostap piskliwym głosem.

— Do dworu! powtórzył gazda, i żywo podniósł się z ławki, a okiem zerknął w przeciwny kąt izby gdzie nad tapczanem za łóżko małżeństwu służącym, wisiał ogromny toporek stalowy a ostry, toporek ten górala nieodstępny i dozgonny przyjaciel, obrońca i towarzysz. Lecz wnet usiadł nazad na ławkę, umilkł głosem i wzrokiem, i sparł głowę na silnej pięści swojej.

A za piecem żywiej zaszeleściało, i jaśniej łysnęło, i ozwał się głos stary i trzęsący na pozór, ale zarazem pełny jakiejś dziwnie dzikiej i przerażającej harmonii:

— A po co jej tak późno do dworu! Idź precz ty stary, co gonisz węchem i okiem, gdzie tylko możesz co rozedrzeć i obedrzeć.

— Milczałabyś stara czarownico! odrzekł Ostap, ale

głosem znacznie łagodniejszym, i choć spróbował uśmiechu głośnego, znać w nim było przymus i drżenie.

— Ja czarownica! Czarownica!. ha! ha! ha! Ty wiesz o tym Ostapie! ozwał się głos z zapieca. I nagle lekkim skokiem stanęła na środku izby kobieta dziwna strojem i ułożeniem całem.

I w rzeczy samej jeżeli ją miano za czarownicę, można było poniekąd przebaczyć to mniemanie przesądnym góralom, którzy w samotności gór oddzieleni przez większą część roku od wszelkich stosunków zresztą płaskiego kraju i jego więcej otartemi mieszkańcami, wśród ciągłych cudów i nagłych przemian swej olbrzymiej przyrody, z marzeń bezcelnych, instynktowo poetycznych, łatwo bardzo przechodzą w rozmaite wiary przesądne.

Bo powierzchowność tej kobiety była w rzeczy samej nadzwyczajna. Jej ubiór cały składał się z ogromnej płachty, ceglasto czerwonej, która ją okrywała licznemi fałdami od stóp aż do głowy. Przeciw zwyczajowi zamężnych wieśniaczek tamtejszych, żadnej niemiała zawitki na głowie, i z fałdów tej wielkiéj płachty która była i ubraniem i pościelą razem, wyglądała tylko jej twarz otoczona długiemi rozpuszczonemi włosami, i część szyi i piersi, na której miała pozawieszane rozmaite korale, paciorki, bursztyny i granaty nawet; a każdy sznur miał zawieszone rozmaite jakieś i monety i medaliki, które za każdym jej ruchem tłukąc się o siebie, wydawały dziwny jakiś, dziko dźwięczny odgłos. Twarz jej nie była stara jeszcze, tak że możnaby ją brać za starszą siostrę własnej córki. Rysy tej twarzy wyraziste, i pełne jakiejś dumy i pewności, były regularne, i świadczyły o jej niepospolitej piękności za młodu. Szczególnością jej powierzchowności były przed wszystkiem jej czarne jakby krucze włosy, i płeć tak śniada że łatwo mogło się zagnieździć w Krywence to mniemanie powszechne, ale udzielane po cichu tylko, jakoby stara Warwara pochodziła z rodu cygańskiego, co naturalnie utwierdzało jeszcze przekonanie o sile i prawdzie jej czarów. Oczy miała również czarne, wielkie, ale w twarz głęboko zapadłe; wzrok ich szybki, migający i niespokojny zdawał się świadczyć czy o obłąkaniu, czy o ciągłym zachwycie. Jest to typ kobiet jakich w górach znaleść można w każdej niemal wiosce góralskiej, o których wszyscy współżyjący twierdzą, że to czarownice, umiejące rzucać uroki na ludzi i bydło, i które same z czasem uwierzą w tę swoją nadnaturalną władzę. Są to zwykle kobiety, których umysł, nędzą przypadkiem lub nieszczęściem jakiem obłąkany, goni w samotnem dumaniu za temi marzeniami bez barwy i pewnych zarysów, które się im roją, a które są tak fantastyczne i nieoznaczone, jak całe ich usposobienie żadnem lepszem wychowaniem niezakierowane.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Pielgrzym u kresu wędrówki.

Oto z kijem pielgrzymskim, jako ślub mój każe,
Przewędrowałem miasta, wioski i cmętarze,
W macierzystych kościołach rozpatrzyłem zbliska,
Nadpowietrzne wieżyce, podziemne sklepiska;
I aby się przed ludźmi pochwalić zdobyczą,
Wziąłem nieco pamiątek w sakwę wędrowniczą:
Garstkę wody niemnowej i gruz starej wieży,
Z grobowca kość nadgniłą, z pola kwiatek świeży.
Wzdłuż i wszerz zwędrowawszy nadniemeńskie strony,
Pod gruszą pól domowych odetchnę znużony;
A nim k' dalszej pielgrzymce na siły się wzmogę,
Rzucę wzrok pożegnalny na przebytą drogę;
Tam nad sinem jeziorem stary zamek stoi
Tam na pagórkach dworek, gdzie rodzice moi,
Tam chatka, gdzie mię szczęścia zawiodła rachuba,
Tutaj cmętarz na piasku, gdzie śpi dziatwa luba,
Tutaj Boże świątynie, tutaj bratnie domy,
Śpiewa znajome ptastwo, huczy wiatr znajomy —
I wspominam spłakany, rozmarzony cały
Uczucia, co mi niegdyś piersi zalegały,
I myśli, które niegdyś paliły mi w głowę...
O strony mego serca! o strony domowe!
Kiedy mię wicher życia daleko wyrzuca,
Niech na zapas powietrza zagarnę ztąd w płuca,
Niechaj mi wzdyma piersi, niech je w głębi noszę,
Na westchnienia rzewniejsze by użyć po trosze.
W zamian cóż wam zostawię? czem pamięć oznaczę?
Chyba błogosławieństwo pielgrzymie, żebracze,
Ze wzgórza puszczę z wiatrem po waszym obszarze —
A Pan Bóg je przeżegna i spełnić się każe.
Nad wioskami, nad Niemnem, nad lasem, nad błonią,
W lepszy czas pieśń głośniejszą ptaszkowie zadzwonią,
I rosa łaski Pańskiej niech użyźnić raczy
Wasze niwy piaszczyste i serca oraczy.
A na wiosnę, na błoni, przy Niemna zatoce,
Gdy bocian zmartwychwstania piosnkę zaklekoce,
Duch pielgrzyma pośpieszy, by cieszyć się z wami,
Polatać nad wioskami, po nad cmętarzami,
Gdzie pił wodę niemnową, gdzie miał chleba kawał,
Gdzie łzy bolesne sączył, gdzie szczęścia doznawał,
Zkąd odszedł rozpaczliwie załamawszy ręce,
I zostawił pamiątkę w znikomej piosence! L. K.

Zygmunt Kaczkowski.

Do najnowszych i najznakomitszych pojawów w historyi powieściarstwa polskiego należy niezaprzeczenie p. Zygmunt Kaczkowski, autor kilku powieści, napisanych z prawdziwym talentem. Gdyby nawet mniej w nich okazał zdolności powieściarskich, niemoglibyśmy o nim przemilczeć już dla tego samego, że on jest nasz, bo między nami wzrósł i wychował się, między nami postępował pomału w swoim powieściarskim zawodzie; talent zatem jego i powodzenie autorskie niemogą być nam obojętne. O ile po przeczytaniu kilku jego znanych dotąd, mniejszych i większych powieści da się wyprowadzić osąd ogólny, powiemy szczerze, jako tuszymy w sobie nadzieję iż p. Kaczkowski po

tej którą wybrał drodze, wyjdzie niezawodnie na najznakomitszego pisarza powieści historycznych polskich. Ma po temu przedewszystkiem szczególne zamiłowanie w scenach naszej przeszłości, ma jak się zdaje niepospolite oczytanie we wszystkich pamiętnikach dawnych, i wrobił się już nareszcie w ten dawniejszy język, którego wszystkie przysłowiowe i nawyczkowe naszych ojców zwroty znane mu są doskonale. To jest niezawodnie pierwsze wrażenie jakie sprawia Murdelio, 2tomowa powieść p. Kaczkowskiego wyszła w Petersburgu, o której w szczególności mówić zamyślamy. Murdelio jest to już powieść na większy rozmiar zakrojona i co do szczegółów niektórych epizodycznych doskonale wykonana, a z wielką prawdą tych wielu drobnych rysów szlacheckich, jakiemi odcieniował autor swoich Sanoczanów i Mazurów, a mianowicie samego Nieczuję. Powieśc ta, jeżeli wolno nam użyć tu porównania, wydaje nam się dodoskonale i pracowicie wyrobioną mozajką. I w rzeczy samej powieść historyczna w pewnym względzie nie jest niczem innem, jeno mozaiką, ułożoną z tych wszystkich tu i owdzie przez autora w kronikach i pamiętnikach pozbieranych wiadomości. Idzie tylko o to jaki w końcu obrazek z tej mozolnej wystąpi pracy. Doskonałość mozaiki nie traci zapewne na tem, czyli obrazek ten złożony z sztuczek przedstawia kwiatek jaki lub arabesk lub kapryśnie wymyśloną główkę, lub nareszcie jakąś wielką uderzającą charakterystycznemi rysami scenę — skoro ten kwiatek, arabesk, główka lub scena oddane są z prawdą, tą najprzecudniejszą pięknością estetyczną. Różnica tych mozajką wyrobionych obrazków, zależy od ich twórcy uzdolnienia; z niej poznać można jego jenialność, jego wyższe powołanie. Mniej uzdolniony lub mniej wpracowany utworzy cudny kwiatek, ale będzie to kwiatek tylko, uroczą główkę anioła, ale będzie to główka anioła. Mistrz zaś utworzy figury, które ci zaraz przypomną i wiek i zdarzenie którego są przedstawicielami.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Najnowsze dzieła.

Wędrówka po moich niegdyś okolicach, wspomnienia, studia historyczne i obyczajowe przez Władysława Syrokomlę *Wilno 1854.*

Jako ostatnie pożegnanie stronom i ludziom gdzie się tyle lat pięknej młodości przeżyło, jako ostatnie *bóg zapłać* za chléb, za sól, za łzy, za radość, za wesołość, za nudy tam doznane, kreślimy, mówi autor na wstępie, z notat i wspomnień, obecny pamiętnik o moich niegdyś okolicach, jak stary pielgrzym, co niemając czem innem zapłacić gospodarzowi za jałmużnę lub gościnną strzechę noclegu, rozpowiada po świecie o swym dobroczyńcy i podaje imię jego do wiadomości dobrych ludzi.

I prześliczne, proste a za serce chwytające są te opowiadania o pawniejszych i dzisiejszych dziejach okolic Mira, Nieświeża, Howiezny, Stołpca, Kojdanowa i Swierzna. Najpierw opisuje pan Kondratowicz własną niegdyś siedzibę, dworek w Załuczu i dworek w Żukowym-borku gdzie się urodził i wychował znany po pseudonymem Adama Pługa powieściopisarz Antoni Pietkiewicz.

Sokrates, powiada autor, gromił niegdyś Alcybiada, że się pyszni z posiadania tak szczupłego kawałka ziemi, którego na atlasie Grecyi znaleść nie podobna. Jam bogatszy od Alcybiada, bo na karcie kraju bez trudu, znajduję miejsce gdzie leży mój niegdyś dworek. Wprawdzie ta posiadłość nie jest mojem dziedzictwem, ale pycha moja nie sięga tak daleko abym pragnął wieczystych posiadłości. Na mocy tego prawa nazywam mojemi ten dworek i tę wioskę i śledzę ich przeszłość, nie troszcząc się o czyjeś tam prawa dominialne. Dalej maluje okoliczną szlachtę zagrodową w cierpkich wprawdzie, ale poczciwej dążności obrazach. Zastosowuje do niej wiersz:

Wie szlachta, że się szlachtą rodzi
A gdy grosza niedają dzisiaj przodków cnoty
Naco próżno myśl błąkać w dzisiejszej powodzi?
Lecz nie całkiem też obce jej karty dziejowe!
Wie szlachta że przodkowie jej golili głowę
Że nosili kontusze, żupany, czamary
Cóż więcej? — że gromili Turki i Tatary.

„Ale nic więcej" — dodaje — przeżyła wiek swojego czynu, zapomniała żywotną część swych dziejów. Cóż jej dziś pozostaje? Skarleć do ostatka albo się odrodzić w nowej formie, przez użyteczną pracę, w tylu czynnych zawodach, otwartych dzięki opiece rządu, dla każdego chcącego pracować. Rolnictwo, piśmiennictwo, handel, służba krajowa, iluż to potrzebują pracowników, iluż pożytecznym rękom chleba i sławy dostarczyć jeszcze mogą. Skromne, szczupłe a użyteczne a niedające dosyć ani chleba ani pracy zaścianki niechby zostały jako gniazdo młodych pokoleń, jako przytułek starym po trudach żywota, jako arka przymierza cnót rodzinnych. Ale młodym w świat, w świat koniecznie! jak bywało za czasów kiedy szlachta żyła czynnem życiem. To nasza rada braciom szlachcie, a naszą modlitwą za niemi jest, aby się im na świecie fortunnie wiodło."

Przystępując do opisania Nieświeża i Radziwiłła *panie kochanku*, powiada: «Zuchwalstwem byłoby malować go w obyczajowym obrazku po tych wzorach jakie już podali hr. Rzewuski w pięknych swych dziełach a Ignacy Chodźko w swym Kwestarzu i Dworkach na Antokolu. Epoka Radziwiłła panie kochanku jest epoką najmniej obrobioną w naszych dziejach ale zbyt bliską ażeby można ją studyować.» Zebrał więc jedynie p. Kondratowicz o panie kochanku, szczegóły które są interesujące i bardzo mało albo zupełnie dotąd nie znane.

Opisy dworków swojej okolicy, zmieniwszy tylko nazwy zastosować by można do stron naszych. Bo na całej przestrzeni od Odry po Dniepr, od Baltyku do Czarnego morza, kilkowiekowa wspólna historya wyrobiła te same zwyczaje i obyczaje, te same cnoty i przywary w klassie narodu, która publicznem żyła życiem.

Najpiękniejszy obrazek jest rozdział ostatni: *wioski i lud.* Tam wioski leżące zwykle nie opodal strumienia, nad łąką po jednej a polem po drugiej stronie, z kościołami, cerkiewkami, krzyżami i słupami gdzie nazwisko i powiat wypisane; tam chaty z jodłowych lub sosnowych berwion, przykryte strzechą słomianą, najczęściej malowniczo poszarpaną i mchem zielonym zakwitłą, nad którą wydrążony pień drzewa pełni funkcyą komina. Pięknie skreślone są dziecięcy wiek, młodość, zatrudnienia ludu, jego wesela, uroczystości, zabawy, niedole, starość, i koniec w czterech deskach sosnowych. „Dziad" mówi, kończąc opis ludu, „niańczy swe wnuki lub jeśli go Bóg osierocił, idzie paść wioskową trzodę. Baba z kądzielą siedząc na piecu, mówi pacierze, albo piosnek i skazek tradycyjnych uczy młode dzieci i wnuczęta. Niekiedy dziad i baba czując się już w chacie ciężarem wkładają sobie na krzyż, przez plecy dwie torby, biorą dwa kije i śpiewając dziadowskie pacierze ruszają od wioski do wioski, od kościoła do kościoła, prosząc dobrych ludzi o kawał chleba. A do-

brzy ludzie z pewnym rodzajem uszanowania przyjmują starców, bo w całej Słowiańszczyźnie zwyczaj żebraniny na starość jest powszechny i nie uwłacza nic ani samym żebrakom, ani rodzinie, która na włóczęgę ojców zezwoliła.

Tak wieśniak litewski na piecu chatnim lub pod obcym płotem dokonywa swe ciche życie. Rodzina po nim popłacze, zamknie go w cztery sosnowe deski, pogrzebie na cmentarzu, a w rok po śmierci postawi na nim drewniany krzyż, sprawi stypę, na niej się upije, potem jeszcze powzdycha, pomodli się... i zapomni o umarłym.»

Mały i szczupły zakres wytknął swym opowiadaniom Kondratowicz; lecz ile w tak małym zakresie zebrał studiów historycznych, uwag obyczajowych, spostrzeżeń nad ludem, szlachtą?..... Dowiódł on swojem dziełkiem czego dowieść zamierzył: *iż każdy zakątek kraju, choćby na pierwszy rzut oka nie przedstawiał nic nadzwyczajnego, może być przedmiotem studiów.* A studia tego rodzaju mogą być wielkiego pożytku dla nas, którzy tej ziemi tak dobrze jak nieznamy: Lecz trzeba żeby piszący takiem sercem przylgnął do swej okolicy jak Kondratowicz. Z drugiej strony prawdą jest również iż pięknej okolicy opis aby przemówił do serca innych, musi być i z tem sercem czemś więcej związany jak prostą ciekawością.

Autor kończy swoje opowiadania pięknym wierszem: Pielgrzym u kresu wędrówki, który później przytoczymy.

Teatr.

Teatr polski. — Coraz częstsze słyszeć dają się narzekania, iż teatr polski we Lwowie upada, iż coraz mniej osób bywa na przedstawieniach. I jakaż może być tego przyczyna?... Wszak usilne są starania kierujących teatrem, aby utrzymać go w dawnej świetności. Oto w przeszłym roku wysłano dyrektora teatru do królestwa, aby wyszukał w teatrach tamtejszych zdolniejszych aktorów, którychby można zaangażować do uzupełnienia tutejszej sceny. Wszak Jego Exc. hr. Namiestnik mianował komitet z ludzi światłych, którzy baczyć mają, aby jedynie lepsze nowe sztuki przedstawiano na teatrze? Wszak jednemu z znanych znawców sztuki dramatycznej polecił wpływać na układ repertoarza? Wszak scena dzisiejsza składa się z nierównie większej liczby aktorów i aktorek, niż to było za najświetniejszych czasów tej sceny od r. 1839 do 1847?...

Pokrótce wypowiemy przyczynę dzisiejszego stanu teatru polskiego. Oto całość składu scenicznego, która w długim przeciągu czasu pod kierunkiem p. Kamińskiego wyrobiła się do artystycznej doskonałości, później przez śmierć lub usunięcie się jednych aktorów, przez wiek i choroby drugich zupełnie się rozprzęgła, a w ostatnich latach nie miała scena tutejsza człowieka, któryby zarządzając artystyczną stroną teatru chciał lub umiał z młodszych sił utworzyć lub uzupełnić nadwerężoną harmonią. Jest kilka zdolniejszych młodych aktorów i aktorek, jest więc materyał z któregoby wyrobić się dali artyści. Ale trzebaby z nimi tak pracować, jak pracował niegdyś Kamiński z swoją młodzieżą, jak pracowali później starsi artyści zarządzając sami teatrem nad swymi młodszymi kolegami. Dziś młody człowiek wprowadzony na scenę, puszczony jest potem samopas. Nikt go o znaczeniu charakteru który przedstawiać ma nie oświeci, nikt nie wskaże mu środków i sposobów oddania roli, nikt nie każe dla włożenia go do tej lub owej roli powtarzać próbę po kilka, a niektórych scen i po kilkanaście razy, jak to czyniono dawniej, gdy się wykształcali nasi starsi artyści. Nikt nie poda mu dobrej rady, nie przedstawi błędów które popełnia. I nie dość iż rozwinąć swych zdolności nie może, ale musząc przedstawiać ważniejsze role rośnie w zarozumienie o sobie, i niweczy tym sposobem i zaród tych zdolności jakieby miał istotnie. Cóż w takiem położeniu rzeczy pomogą najchwalebniejsze usiłowania czynione z góry? Cóż pomoże dobór sztuk lepszych, jeźli źle są przedstawiane? Cóż pomogą zabiegi o pozyskanie z innych scen artystów lepszych, jeżeli wysyłany po nie, nie będzie miał wyobrażenia o sztuce dramatycznej i posprowadza osoby nie tylko niemające wprawy scenicznej lecz i zdolności, po którychby się przynajmniej na przyszłość jakowegoś owocu spodziewać można?...

Jedynie umiejętna bezpośrednia dyrekcya artystyczna teatru może z tego upadku wydźwignąć scenę. Przy złej dyrekcyi artystycznej sparaliżowane będą najlepsze chęci i starania tak komitetu teatralnego jak i osób wyżej stojących a zajmujących się sceną polską.

Tych uwag kilka napomknęliśmy zabierając się do przeglądu przedstawień polskich. Przeglądy te pisać będziemy bez przerwy, z największą bezstronnością i sumiennością. Sztukę jedynie będziem mieć na celu. Może sąd nasz wyda się niektórym za ostry, za bezwzględny. Ależ my istotnie pisać będziemy bez względów żadnych. Prawda i cel artystyczny kierować będzie naszem piórem i spodziewamy się zyskać uznanie od światłej powszechności czytającej. A jeźli naszemi uwagami przysłużymy się w czemkolwiek teatrowi polskiemu, jeźli nieustannie zwracając baczność na scenę polską zdołamy choć w części rozbudzić zajęcie się tą sceną między publicznością naszą, natenczas cel nasz będzie osiągnięty. Bo tylko, zajęcie się silne tą sceną może oddziałać silnie i na poddźwignięcie się jej, może zniewolić do naprawy tych błędów i niestosowności dla których dzisiaj chromieje. Z...

Opera. — Nim rozpoczniemy przegląd przedstawionej na scenie tutejszej opery *Rigoletto,* niech nam wolno będzie powiedzieć nieco o *Verdim* jej autorze. P. Verdi, protoplasta nowej szkoły włoskiej, w przeciągu kilkunastu zaledwie lat swojego zawodu, napisał 19 oper najrozmaitszej treści muzycznej, a których szereg zamyka ostatni jego utwór pod tytułem *Il Trovatore.* Coraz więcej zwraca Verdi na siebie uwagę świata muzykalnego, nie tyle już samym ogromem różnobarwnych swych pomysłów, nacechowanych w niektórych utworach prawdziwą genialnością, ile raczej samą tendencyą muzykalną. stanowiącą nowy zwrot szkoły włoskiej, której jest wielkim zwolennikiem. Już wprawdzie nieśmiertelny Rossini, pierwszy dał hasło, że tak powiemy, odszczepieństwa, od owej czystej melodyi włoskiej w wielkim swym utworze: *Wilhelmie Telu,* gdzie tak szczytnie i wysoko melodya włoska spływa z harmonią i instrumentacyą niemiecką. Rossini pojął, a raczej wiek XIX ze swą przewagą myśli nad uczuciem, dał mu to przekonanie, że skończyła się epoka samej melodyi, przemawiającej tylko do czucia, gdzie akord był środkiem, a śpiew wszystkiem, i że w ogóle sztuka winna być pełnym objawem życia wszechstronnie pojętego. Dziś więc uczucie i myśl łączyć się winny nawet w muzyce, która jest najwięcej uczuciową ze sztuk pięknych, w estetyczną całość. Pierwsi Niemcy pojęli to dobrze, pracując nad harmonią instrumentacyi, łącząc ściśle melodyą z akompaniamentem, któremu nie raz przeważniejsze nad pierwszą w swych utworach naznaczają miejsce. Z tego to właśnie punktu wyszedł nasz Verdi, za główne położywszy sobie zadanie, połączenie dwóch szkół w jedną, zlanie w jedną całość melodyi z harmonią, podnosząc pierwszą pilnie opracowanym i efektowym akompaniamentem. Wielka to dążność zaiste, ale też i wielkie trudności za sobą pociąga, z któremi często genialnie, niekiedy nieszczęśliwie, ale zawsze pracowicie i wytrwale łamie się p. Verdi. Z takiego zapatrując się stanowiska, można niejako zrobić pewien podział między utworami Verdego. W niektórych melodya bierze górę nad harmonią i przechyla go do szkoły czysto włoskiej; w innych znów przeważa instrumentacya i robi go zwolennikiem szkoły niemieckiej.

Do pierwszych policzylibyśmy z więcej znanych, opery: *Ernani, I due Foscari, Lombardi* i *Nabuccodonosor;* wszystkie te utwory jedną mają na sobie barwę, że nie ledwie jedne motywa muzyczne w rozmaitych przejawach oddane, tak dalece, iż niektóre części, a

szczególniej w chórach są prostem prawie powtórzeniem. Pierwsza z tych oper *Ernani*, datuje prawdziwą sławę p. Verdi; nie dziw więc że piękny pomysł tego utworu raz wysnuty, i w następnych echo swe znajduje.

W operach zaś *Atylla, Luisa Miller*, a szczególniej też w *Makbecie*, akompaniament więcej zdawał się zajmować uwagę mistrza jak sama melodya; więcej dają się tu uczuć studya klassyków niemieckich.

W *Giovanna d' Arco*, w niektórych mniejszych utworach, a nakoniec w *Rigoletto* widoczna jakaś droga pośrednia, niejako tendencya ku szkole francuskiej; tę ostatnią nawet operę, która nas zajmuje, w partiturze nazwano melodramą. Istotnie jest w niej więcej coś lekkiego, akompaniament łatwiejszy, instrumentacya mniej silna chociaż efektowa.

W pierwszym akcie, po mniej wydatnej uwerturze, zwraca uwagę ballada tenorowa: *Questa o quella per me pari sono*, w stylu lekkim i żartobliwym, przy łagodnym akompaniamencie, a w ślad za nią piękny chór bardzo efektowy: *Che tutto e gioja tuto e festa.*

Dalej spotkanie ojca z córką, nastręcza śliczny autorowi duet. Obawa biednego Rigoletto o honor i przyszłość córki, uczuciowo oddana w owym dwuśpiewie, zaczynającym się *Figlia! mio padre* kończącym się smętnie pożegnalnym *adio*. A dalej efektowy miłosny dwuśpiew między Gildą, a jej przyszłym uwodzicielem. Szczególnie zwracamy uwagę na akompaniament owego dwuśpiewu, kończącego się tak dźwięcznie, porywającem pożegnalnem alegro: *addio, addio speranza ed anima.*

Prawdziwą jednak wartość całej opery rozpoczyna akt drugi scena 3, ową silnie z wielką prawdziwością uczucia napisaną kawatyną: *Cortigiani*, i t. d.......... Akompaniament niezmierne robi wrażenie. Owo przejście z piosnki wesołej nieszczęśliwego śmieszka, pełniącego swój obowiązek bawienia dworaków, do wzgardy tychże, urągających się nad biednym ojcem zhańbionej córki, nader szczęśliwie oddane, w trudnym przeskoku z majorowej w minorową gammę. Scenę 6-tą zapełnia wielki duet między barytonem a sopranem: *Tutte le feste al tempio*, cis b. mol. Boleść ojca w obec upadłej dziewicy szczytnie oddana. Rzewność instrumentacyi doskonałym jest obrazem nieszczęśliwej Gildy.

W akcie trzecim, wesoła śpiewka majorowa rozpustnego księcia: *la donna e mobile*, oryginalnością swą i jakimś szczególnym urokiem prawdziwie zachwyca. Na koniec wielkie quatuor na soprano, contralto, tenor i baryton, zaczynajace się owym duetem między uwodzicielem a Magdaleną, przypominającym niece Mozarta w duecie Don Juana z Cerliną, przechodząc nagle z fis major w as minor, wyrażając tak zachwycająco, z jednej strony śmiech i pustotę, z drugiej łzy, boleść i zemstę, ujmuje genialnością pomysłu, jako też niezmiernie dobrze oddaną harmonijnością akordów i ową niby sprzecznością akompaniamentów, tak łagodnie w jedną zlewających się całośc. Piękny efekt robi naśladowanie orkiestrowe burzy, łącznie z chórem męskim, a raczej echem wtórzącem rozhukanym żywiołom.

Jednem słowem, w tej operze Verdego są części prawdziwie piękne, śmiało obmyślane i trafnie wykonane; całość jednak mniej wydatna, jak w innych jego operach, nie masz wątku jednej myśli, któraby stopniowo mistrz rozwijał, jest dużo rzeczy rozrzuconych, które poprawniej połączone, nierówniebyby wyżej utwór ten podniosły. G. C.

Rozmaitość.

Zebrania warszawskie — W Warszawie ustaliły się już od lat kilku zebrania towarzyskie, których jedynym celem jest umysłowe zajęcie. Zebrania te jedne są *ranne*, drugie *wieczorne*. W zebraniach rannych pierwsze miejsce zajmują *niedzielne* w godzinie południowej u hr. Leona *Łubieńskiego* przy ulicy królewskiej. Cały literacki i artystyczny świat, wszyscy zwolennicy piśmiennictwa polskiego zbierają się w jedno koło, a rozprawy rozliczne naukowe lub dotyczące sztuki są głównem zajęciem podczas tej kilkogodzinnej rozrywki, z tylu różnorodnych odcieni złożonej. Z towarzystw wieczornych pierwsze miejsce trzymają w Warszawie zebrania poniedziałkowe w domu państwa Łuszczewskich. Liczba osób na tych zebraniach daje się czasem liczyć na setki. Dawniej te towarzystwa składały się z samych literatów. Dziś każdy tam ma przystęp, kto udział bierze lub wziąć pragnie w umysłowem życiu Warszawy. Pani Nina Łuszczewska, osoba światła i miła posiadająca w wysokim stopniu dar przyjmowania u siebie, kieruje temi towarzystwami. Począwszy od najmniejszego uprawiacza niwy literackiej, aż do najuczeńszego i najzasłużeńszego męża, od początkującego rysownika do najzawołańszego artysty, od gamowego muzyka aż do okrytego sławą mistrza słowem od najmierniejszych do najwyższych zdolności wszystko się tam ciśnie do jednego koła skojarzonego równie silnem jak rodzinne ogniwem, bo ogniwem umysłowem. A główną ozdobą tych zebrań jest córka gospodarstwa, sławna w literackim świecie pod nazwą Deotymy ośmnastoletnia improwizatorka.

Oprócz tego bywają zebrania u hr. Andrzeja Zamojskiego, wielce około gospodarstwa krajowego zasłużonego męża, który zarówno ukochał lemiesz jak i pióro, naukę i przemysł. Dalej zbierają się w piątki u hr. Alexandra *Przezdzieckiego* teraźniejszego głównego redaktora Gazety Codziennej, w środy u podróżopisarza i powieściarza Dr. *Tryplina*, w wtorki u Bolesława *Podczaszyńskiego* i w wielu innych domach. Wieczory poświęcone więcej rozrywce i przyjemnościom życia dawają hr. Augustowie *Potoccy*, hr. Sewerynowie *Uruscy*, hr. Stanisławowie *Małachowscy*, hr. Marcin *Tarnowski* i inni jeszcze.

Ody. — Na cześć przyjazdu Jego Ces. Mości Arcyksięcia Karola Ludwika do Lwowa napisali dwie ody: jednę J. N. Kamiński w imieniu miasta, drugą Wincenty Thullie.

Pług parowy. — W Lipsku odbywano tej jesieni próby z machiną rolniczą, równie ciekawą ze względu swojej budowy jak i użyteczności. Jest to parowa machina do orania ziemi, mająca w zupełności zastąpić uprawę za pomocą ręcznych łopat, której ważność w gospodarstwie coraz więcej jest uznawana. Wynalazcą tej machiny jest c. k. kapitan Józef Bauer z Wiednia, zbudowaną zaś została w zakładzie p. Harkorta. Wyorane nią pole nie zostawia nic do życzenia; nie tylko bowiem pod względem głębokości przewyższa uprawę pługową; ale nadto od jednego razu rozbija ziemię jak najzupełniej. Próby przedsięwzięte z machiną taką o sile 2 i pół koni, przekonywają, że system jej budowy pod każdym względem celowi odpowiada. Machina tego rodzaju kosztuje około 1800 talarów. Do wywiezienia jej na pole wystarcza para koni, do obsłużenia jej zaś na polu, potrzeba maszynisty i jednego chłopca do pomocy. Machina parowa tak jest urządzona że w czasie wolnym od orki, służyć również może do młocarni lub innych gospodarskich machin.

Lampy kamfinowe. — W Warszawie zaczyna się upowszechniać bardzo oświetlanie kamfiną, którą tam w dwóch fabrykach wyrabiają. Kamfina jest cieczą bezbarwną i przezroczystą jak woda. Zapalona, (przy użyciu, podobnie jak w lampach wyskokowych spirytusowych, nasyconego nią knota), daje światło mocne, czyste i jednostajne, pod każdym względem wyrównywające gazowemu płomieniowi. Nie wydaje żadnej woni ani dymu, nie pozostawia osadu, a tem samem nie zanieczyszcza lamp, po najdłuższem nawet używaniu. Za przytknięciem ognia zapala się w mgnieniu oka i wypala do ostatniej kropelki. Półkwartowa lampka kamfinowa, nalana do pełności, pali się przez 14 godzin jednostajnym płomieniem; a że knot prawie wcale się nie zużywa, nie potrzeba go więc obcinać jak co dni kilka. Nakoniec cena kamfiny o połowę jest niższą od ceny teraźniejszej oleju; bo kwarta jej wystarczająca na 28 godzin, kosztuje w Warszawie 15 kr. m. k.

Po wyliczeniu tak przeważnych zalet, nie potrzebujemy rozszerzać się nad tem, ile upowszechnienie tego płynu zapewnia wygody i oszczędności, tak w używaniu prywatnem, jak mianowicie dla sklepów i wszelkiego rodzaju zakładów publicznych. Życzyć nam tylko pozostaje, aby użyteczny ten wynalazek w jak najkrotszym czasie, i u nas znalazł zastosowanie, zwłaszcza przy wygórowanych obecnie cenach oleju.

Dwa przedstawienia teatralne. — Po pożarze Moskwy i klęsce Francuzów pod Berezyną feldmarszałek Kutuzow jako zwycięzca wszedł do Wilna. Dyrektor tamtejszego polskiego teatru zapytał jaką sztukę na cześć tego wjazdu dać ma. Kutuzow rozkazał dać tę samą, którą dawano na cześć wejścia do Wilna Francuzów. W sztuce tej było pełno pochlebstw dla zwyciężającego wszędzie Napoleona i Francuzów a aluzyi do Rossyan. Dyrektor przedstawiał niestosowność tej sztuki, lecz nadarcmnie, feldmarszałek zakazał najsurowiej aby ani jednego nie zmieniono słowa. Wieczór Kutuzow z całym sztabem jeneralnym przybył do teatru. Przy każdej pochwale zwyciężającego wszędzie i niepokonanego Napoleona, stojącej z klęską teraz odniesioną w tak rażącej sprzeczności, feldmarszałek dawał rzęsiste oklaski, a za jego przykładem i obecni oficerowie. Lecz im oklaski były rzęsistsze tem więcej trwożyli się aktorowie. Pot śmiertelny występywał na ich czoło przy każdem słowie, które im deklamować przyszło. Po przedstawieniu Kutuzow dyrektorowi dał znaczny prezent, a chcącemu się uniewinniać rzekł: dosyć już i tak ukarany jesteś.

W **Brześciu litewskim**, bawi obecnie towarzystwo artystów dramatycznych pod zarządem p. Nowakowskiego z Grodna przybyłe.— Widowiska są polskie i rosyjskie; po polsku przedstawiono: Derynga „Gwiaździarkę", Korzeniowskiego „Akt V"; w rossyjskim wodewil „Hamlet i Ofelja" i t. d. Znaczniejsi artyści są: panie Holcmanowa, Monikowska, panna Łowczyńska, pp. Wolski, Lipiński, Milewski Zieliński, Gutowski i dyrektor. W mieście gubernialnem **Mohilewie** nad Dnieprem także przybyła niedawno trupa dramatyczna pod przewodnictwem p. Józefa Kondrat'a daje podobnież w dwóch powyższych językach przedstawienia.—Między innemi, grano komedyo-operę oryginalnie napisaną w języku polskim przez Antoniego Żmijewskiego, wierszem, w 2 aktach pod tytułem: „Straż na upiora". Znaczniejsi artyści, prócz dyrektora, są: państwo Bellejewscy i panny Bellejewskie, pp. Artymonowicz, Piotrowski, Hanusiewicz i Burbekl. Bywają i tańce w których odznacza się panna Sękowska.

Sumienny oficer. — Gdy podczas bitwy pod Casa-bianca Dąbrowski dyktował oficerowi przybocznemu rozkazy, pada strzał, a oficer ugodzony kulą, usuwa się na ziemię. Jenerał przywołał innego. Ledwie ten wziął pióro do ręki, wstaje z ziemi raniony i mówi: Jenerale! stanęliśmy.... i powtórzył ostatnie słowa rozkazu.

Bezimienny. — Niedawno przy zbieraniu składek na cel dobroczynny, w listę subskrypcyjną wpisał się pewien jegomość: Bezimienny... 2 złr. *Ignacy Dziewiątkowski.*

Dowcipna odpowiedź. — W liczniejszem towarzystwie za nadto wiele o rozumie swoim wyobrażający sobie jegomość spytał jednej damy: proszę mi wyjaśnić, dla czego nie mówimy ten gęś, tylko ta gęś." — „Proszę mi pierwej wyjaśnić, dla czego nie mówią ta osieł jeno ten osieł," odparła zagadniona.

Stroje. — Paryż w grudniu. Bale i wieczory rozpoczęły się i codzień można widzieć coś nowego w strojach. Wysoko zachodzące suknie widzieć można wszędzie; służą one i do ubrania, jeźli są otwarte z przodu i jeźli rękawki i kołnierzyki są ozdobne. Przytem kwiaty i wstążki u włosów przyczyniają się wiele do ubrania a osobliwie wstążki w dzisiejszych toaletach znamienitą grają rolę. Kapelusze coraz robią mniejsze. Szczególnie wierzchnia część głowy bywa zupełnie odsłoniona. Formą podobniejsze są do czypków przydłużonych ku podwiązaniu niż do kapeluszy. Obwód kapelusza tak zewnątrz jak wewnątrz garnirują bardzo suto wstążkami, blondynami, piórami, kwiatami, a często tem wszystkiem razem. Piór tej zimy używają coraz więcej. Obszywają niemi płaszcze, (szczególniej czarnemi), kapelusze i suknie. Jest to bardzo-piękna moda. Nawet wstążki piórami franzlują. Podobnie strojne suknie garnirują frenzlami z piór. Osobliwie garnirują niemi czarne aksamitne do stanu przypadające staniki brane na wierzch sukni innych, które znosić chcą, albo jako zarzutki lub katanki. A nawet staniki same od sukien garnirują w około wązkiemi prążkami piór, co bardzo pięknie wygląda.

Noszą bardzo wiele tak zwane *pelisses*, które od płaszczów odróżnić trzeba. U góry jest krój dość do stanu przypadający ułożony, a w koło w fałdy przyszyty płaszcz. Pelissa jest obszerniejsza od płaszcza, ma rękawy i mały kołnierz tak wyłożony, że szew przykrywa. Zarzutki do salonu, talmy, szale, najwięcej robią z aksamitu, dla młodszych osób w kolorach jasnych. Kolor kasztanu jest dziś najwięcej w modzie. Aksamitne rzeczy obszywają piórami bo wigoń do aksamitu jest niestosowny. Wigoń najpiękniej wydaje się na podszewkach. Następnie o modach męskich *).

*) Życzącym sobie do opisów mód odbierać w załączeniu i ryciny mód, obowiązuje się księgarnia za dopłatą 4. złr. rocznie przesyłać co dni czternaście robione w Paryżu kolorowane staloryty mód, wzory, patrony i desenie i to we dług żądania, damskie lub męskie krawieckie.

Przyjechali dnia 1. stycznia do Lwowa:

PP. Antoniewicz Wincenty wł. dóbr, z Skwarzawy. Brunicki Ludwik i Jakób baronowie i wł. dóbr, z Gorajca. Horn Edward wł. dóbr, z Laszek. Hadziewicz Edward mand., z Glińska. Jahner Cyryl pleban, z Żółkwi. Kośnierski Jan wł. dóbr, z Wiszenki. Kruszyński Jan prof. gimn., z Derewni. Marszycki Eustachy prof. gim. z Pietrzyc. Ujejski Kornel wł. dóbr., z Lubczy. Niewiadomski Tadeusz dz. dóbr., z Soposzyna. Olszewski Michał wł. dóbr., z Rosyi. Ricci Tomasz mieszczan, z Brodów. Strzelecki Krzystof wł. dóbr., z Płuhowa. Turczyński Jan wł. dóbr, z Żółkwi. Walter Leopold wł. dóbr, z Dwernika. Zucker Zygmunt wł. dóbr, z Chorożnicy.

dnia 2. Stycznia do godziny 5 wieczór:

PP. Barylewicz Teodor gr.-kat. pleban, z Balie. Dębicki Wiktor gr.-kat. pleban, z Stanisławowa. Eminowicz Kajetan wł. dóbr, z Smereki. Janowski Ambroży radca szkolny, z Przemyśla. Link Franciszek rządzca dóbr, z Komarna. Dr. Voigt August profesor, z Brodów.

Wyjechali dnia 1. stycznia ze Lwowa:

PP. Borkowski Włodzimierz wł. dóbr, do Stryja. Balko Franciszek pleban, do Złoczowa. Czerkawski Julian wł. dóbr, do Żołkwi. Sorger Leopold mieszczan, do Żółkwi. Lewicki Józef wł. dóbr, do Żółkwi. Wolski Marcin rządca dóbr do Kamionki str.

dnia 2. Stycznia do godziny 5 wieczór:

PP. Jahner Cyril pleban, do Żółkwi. Lewicki Józef wł. dóbr, do Bonowa. Skolimowski Julian wł. dóbr, do Dynisk.

Galicyjskie produkta w Wiedniu. — Podług sprawozdania wiedeńskiej izby handlowej płacono tam za galicyjskie produkta w pierwszej połowie grudnia w następujący sposób: Konopie, centnar 18—20 złr. Len, 24—48 złr. Rogi, za 1000 sztuk 10—12 złr. Potaż, za cent. 13—14 złr. Włosień długą 75—80 złr. Półdługą 40—45 złr. Zwyczajną za cent. 32—41 złr. Skóry mokre po 54 do 58 funtów ważące. funt po $11\frac{1}{2}$—$11\frac{3}{4}$ kr. W wosku nie było prawie obrotu żadnego.

Lwów 30. grudnia. — Na dzisiejszym targu płacono korzec Pszenicy ozimej po 19 do 20 złr. — kr. — Żyta po 14 złr. 45 kr. do 15 złr. 40 kr. Jęczmienia po 11 złr. 15 kr. do 12 złr. 15 kr. Owsa po 7 złr. 45 kr. do 8 złr, 20 kr. Grochu po — złr. — kr. do 15 złr. 30 kr. Hreczka po 12 złr. — kr. do 13 złr. 30 kr. Garniec okowity 30to stopniowej z opłatą płacono po 3 złr. 40 kr. w. w. Centnar siana 2 złr. 21 kr. Centnar słomy 1 złr. 27 kr. m. k.

Towarzystwo gospodarskie sprzedało z Dublan pszenicę po 18 złr. 20 kr.—Groch średniej jakości po 17 złr.—Żyto po 14 złr. w. w.

Kurs lwowski.

Dnia 2 Stycznia.	gotówką				towarem.			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	21	złr.	5	kr.	25.
Dukat cesarski	"	5	"	26	"	5	"	28.
Półimperyał zł. rosyjski	"	9	"	26	"	9	"	28.
Rubel srebrny rosyjski	"	1	"	49	"	1	"	50.
Talar pruski	"	1	"	41	"	1	"	43.
Polski kurant i pięciozłotówka	"	1	"	21	"	1	"	22.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	"	89	"	50	"	90	"	10.

Kurs telegraficzny z Wiednia 2. stycznia o 2 g. popołudniu.

Paryż $136\frac{1}{2}$. Augsburg $116\frac{5}{8}$. Genua — Frankfurt $115\frac{3}{4}$. Hamburg $86\frac{3}{8}$. Liwurno $113\frac{3}{4}$. Londyn 11. $19\frac{1}{2}$. Medyolan $114\frac{1}{4}$. Bukareszt — Konstantynopol — Agio duk. ces. — Srebra agio $16\frac{1}{8}$. Pożyczka 5% $93\frac{5}{8}$.—$4\frac{1}{2}$ % $82\frac{1}{2}$. Pożyczka lit. B. 5% $111\frac{3}{4}$. Akcye banku 1377. Kolej północna 2350.

Jego Cesarzewiczowskiej Mości Arcyksięciu Karolowi Ludwikowi przedstawiło się już wielu obywateli stanowych. Na wieczorze u JEx. hr. Namiestnika mają być damy przedstawione. Wilią Bożego narodzenia, obchodzoną podług narodowego obyczaju u JEx. ks. Arcybiskupa, zaszczycił Jego Cesarzewiczowska Mość swoją obecnością. JEx. hrabia Namiestnik da w tym karnawale sześć balów. Oprócz tego słyszymy o przygotowującym się świetnym balu kawalerskim, i o innych świetnych balach i wieczorach w domach obywatelskich.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**